

KS. ZYGMUNT ZIELIŃSKI

**WSPOMNIENIE O ŚP. KSIĘDZU PRAŁACIE  
DR. STEFANIE WÓJCIKU**

Wieść o śmierci ks. Stefana Wójcika „dopadła” mnie w Austrii, w czasie podróży wakacyjnej z przyjaciółmi. Przed wyjazdem, a było to na kilka zaledwie dni przed owym 13 sierpnia, kiedy to wraz z odchodzącym dniem, także Stefan odszedł po zapłatę do Pana, rozmawiałem z Nim przez telefon. Po długich miesiącach cierpień, kiedy nawet kontakt słowny był niemożliwy, usłyszałem nagle w słuchawce Jego tak bardzo znany, spokojny głos, zdawało się, człowieka zdrowego. Nie był zdrowy. Był cieniem dawnego, pełnego energii i inicjatywy na wielu polach Prałata, jak Go w parafii Świętego Ducha we Wrocławiu powszechnie nazywano. Ale głos? Ten zwiastował nadzieję na dalszą drogę jeszcze na tym padole, choć choroba była bezlitosna. Mówiliśmy wtedy o Jego najmilszym „dziecku”, pogrobowcu, którego nie dane Mu było ujrzeć, bo pojawiło się dosłownie kilka dni po Jego odejściu. Mowa o biografii biskupa Wincentego Urbana. Ona i w ogóle więzi łączące te dwie osoby – to oddzielna historia. Znam to z licznych zwierzeń Zmarłego, dlatego szczególnie trudne było pogodzenie się z faktem, iż swego umiłowanego dzieła nigdy nie ujrział. Ile serca w nie włożył? Tylko On sam mógłby na ten temat coś powiedzieć. Może ogrom serdecznej pamięci był tu nawet pewnym hamulcem dla rzeczowych i systematycznych informacji, wszak w takim opracowaniu niezbędnych. Należało zatem to jakoś dopełnić, stąd tak długi czas rodzenia się książki.

Moje wspomnienie zacząłem może nie w tym miejscu, co trzeba. Początkowo miało być wszystko po kolei, od Biskupic na Lubelszczyźnie, Małej Ojczyzny, do której często wracał, i gdzie 3 stycznia 1935 r. ujrział po raz

pierwszy światło dzienne. Może trzeba było potem kolejno przejść okupacyjne dzieciństwo, z tą zachłanną chęcią służenia sprawie, którą podpatrywał w działaniach starszych, także swego ojca. Być pożytecznym, nie stać na uboczu, pobiec gdzieś z wiadomością, z meldunkiem, ze świadomością, że trwa walka. Taki sposób myślenia i odczuwania pozostał nie tylko u Niego zresztą, ale u większości ludzi tego odchodzącego już dziś pokolenia. Był jednym z nich. Przez całe życie udawał, że musi być tam, gdzie dzieje się coś ważnego. Może dlatego to wieczne budowanie, cztery wzniesione świątynie, zorganizowane wspólnoty parafialne, nie licząc innych obiektów.

Fakt, że lubelski maturzysta (1954) znalazł się po dwóch latach w seminarium wrocławskim, ma też jakiś podtekst doskonale harmonizujący z całym życiorysem Stefana. Wrocław w tym czasie nie był już terenem pionierów, ale wiadomo było, że kto tam się na pracę kapłańską zdecydował, pragnie przeżyć przygodę. Jego przygodą była stała pogoń za inicjatywami, których inni się nie imali. Jeszcze Go nie znałem, bo nasze kontakty są dość świeżej daty, sięgają niewiele poza ostatnie dziesięciolecie, a całkowicie przypadkowo wpadłem na Jego trop. Mój serdeczny, zmarły już przyjaciel, ks. prałat Henryk Żochowski, jakoś się z Nim zetknął, być może z okazji Jego studiów na ATK, dokładnie jakoś nie umiem sobie tego odtworzyć, podobnie jak nie pamiętam, skąd Stefan trafił do naszej rozmowy. Jedno pamiętam: ówczesny wicerektor seminarium warszawskiego, mój rozmówca, wymienił Stefana jako przykład wielkiej determinacji w dążeniu do celu. Powiedział wtedy: „Nie zdziwiłbym się, gdyby sięgnął po doktorat”. Niepojęte są drogi, które ktoś pod naszymi stopami układa, ale ten fragment rozmowy utkwiał mi w pamięci.

Kiedy po latach, wracając samochodem z Niemiec, skorzystałem z wielokrotnych zaproszeń Stefana i zajechałem na ul. Bardzką, by po prostu przenoć, rozpoczęło się urzeczywistnianie przepowiedni ks. Żochowskiego. Nocowałem w pokoju, gdzie stół był dosłownie założony stertą jakichś akt i maszynopisów. Jak się niekiedy zdarza po wyczerpującej podróży – trudno zasnąć. Zacząłem więc wertować. Były to materiały Wojewódzkiego Wydziału Oświaty z Wrocławia, głównie – o ile pamiętam – lata sześćdziesiąte. Oczywiście kopie. Rano zapytany, skąd je ma, odpowiedział, że zbiera materiały na temat katechizacji, ale zaraz ofiarował się odstąpić mi wszystko, co posiada w tej materii, w nadziei, że ja coś o tym napiszę. I wtedy powiedziałem Mu, że Jego zadaniem jest, by z tego tworzywa coś zrobić, choćby doktorat. Uśmiechnął się z niedowierzaniem, że niby zbyt późno, że ma sporo innych planów. Dwa cieszyły się priorytetem – biografia biskupa Urbana i książka poświęcona ks. infułatowi Stanisławowi Turkowskiemu. Stefan był

człowiekiem wielkiej lojalności i stałej serdecznej przyjaźni. To tłumaczy te Jego priorytety. I wrodzona wdzięczność, cecha ogromnie rzadka.

Wydaje się, że należy tu zwrócić uwagę na jeszcze jeden moment. Jest nim wrażliwość księdza Wójcika na losy Kościoła za wschodnią granicą. Miał dla jego potrzeb zawsze otwartą dłoń. Nawiązał też szczególnie bliską przyjaźń z księżmi lwowskimi, których wielu znalazło się we Wrocławiu. Wśród nich dwaj wymienieni, którym bez reszty był oddany. Moja mimochodem rzucona zachęta do podjęcia badań doktoranckich okazała się być bakcylem, którego Zmarły się już nie pozbył. Właściwie odtąd zaczyna się nasza twórcza przyjaźń. Garść rad z mej strony, zwłaszcza jak technicznie opracować i uzupełnić nagromadzony materiał, i ogrom pracy z Jego strony. Niewiarygodnie wiele czytał i – co ważniejsze – zapamiętywał. Z trudem dawał się nakłonić do systematycznych notatek. Przy najmniejszym problemie od razu sięgał do książek, otwierał i pokazywał miejsce, na które się właśnie powoływał. A trzeba wiedzieć, że technikę pracy naukowej miał raczej domowej roboty. To nic, najważniejsze są efekty. Nie wierzyłem, że napisze tę pracę doktorską. Toteż, kiedy dotarła do moich rąk jako recenzenta, nie mogłem pohamować ciekawości. Nie będę o tej pracy pisał. Wydrukowana została w 1995 r. Na temat katechizacji w diecezji wrocławskiej w pierwszym okresie PRL otrzymujemy tu informacje nie do zastąpienia. Często bywa cytowana. A potem nagroda im. Ireny i Franciszka Skowyrów na KUL-u, i jakby stałe przyspieszane prace nad biografią biskupa Urbana. Spytałem Go kiedyś, czy ma to być dzieło Jego życia? Odpowiedział: „Wiesz dobrze, kim był dla mnie biskup Wincenty, ale dzieło mego życia to nie moja o nim pisanina. To, co zrobiłem dla Kościoła, o ile to coś warte, niech to będzie tym *opus vitae*. Czy wiesz, że jeżdżąc po kweście na budowę «moich» kościołów wygłosiłem ponad 5000 kazań?” Jednak wiedział dokładnie, gdzie umiejscowił serce, i choć w ostatniej fazie swego pracowitego życia tak sobie upodobał pióro, to jednak nie ono zwyciężyło w rankingu ważności dzieł, jakich dokonał.

Ksiądz Prałat Wójcik ma wiele zasług; nie zapominał też o swej macierzystej diecezji, można nawet powiedzieć, iż upodobał ją sobie. Wiele Mu zawdzięcza parafia, z której się wywodzi, i bodaj lubelskie seminarium, któż to wie, kto i jaka instytucja jeszcze. W rodzinne strony wracał chętnie i nie z pustymi rękami. Jednakże, co tu wypada powiedzieć, cieszył się, kiedy zauważano i odwzajemniano Jego uczucia. Czy zyskał tu pełne zaspokojenie? A czy w ogóle jest to kiedykolwiek możliwe? Czy wreszcie jest potrzebne? Cenili Go z całą pewnością zwyczajni ludzie, co śmiało mogę powiedzieć, bo wielu mi to mówiło. Właśnie wówczas, kiedy wracając z zagranicy stanęliśmy nad świeżo usypaną mogiłą. Przychodzili na moment nieznanymi, anonimowymi i

przypominali, co kiedyś od Niego usłyszeli, niekiedy doznali. Czy tylko ludzie z Wrocławia wspominali Go z wdzięcznością i żalem? Przecież nie ukochał odpoczynku, szedł tam, gdzie Go wzywali. Nie skąpił też swych doświadczeń klerykom, do których wygłaszał konferencje rekolekcyjne. Wiem, że przyjaciele strofowali Go za tę eksploatację własnych sił, których nie miał w nadmiarze; ale On taił chorobę, w sposób z pewnością nieroztropny lekceważył zagrożenie. Po ludzku sądząc, mógłby zatem jeszcze żyć, ale On chciał żyć po swojemu. I miał do tego prawo. Wielu mówiło o Nim, że to człowiek wielu możliwości, mając na myśli środki, jakimi rozporządzał, ale On był biedny jak mało kto. Po prostu nie potrzebował tych dóbr, które dla wielu, zwłaszcza dziś, są treścią życia. To jedna z cegiełek, jaką trzeba będzie wmurować w Jego nagrobek. Bardzo ważna, może tam, dokąd poszedł, jedynie się licząca, bowiem powiedziano nam: „błogosławieni ubodzy w duchu”, i im dano obietnicę nieba. Ubogi w duchu to ten, kto zna znaczenie słów: *usus pauper*. Ubogo brać dla siebie, kiedy byłoby z czego. Na koniec zdradzę chyba nie tajemnicę, a takie wyznanie półgębkiem, jakie z Jego ust kiedyś ułyszałem: „Biskup Wincenty tak robił, on wiedział, co się należy”. Dziecięca wprost ufność czy też jakaś wspólna nić ducha, najlepsza transmisja zamysłów Bożych?

Dlaczego to wspomnienie? Może dlatego, że nasza przyjaźń była zawsze tak całkowicie odarta z gestów symbolicznych, albo – jeśli kto chce – wzniosłych. Zawsze właściwie przynaglałem Go do wysiłku, On zaś taił chorobę, a ja byłem zbyt daleko, by to odkryć. Czy można komuś wynagrodzić coś kilkoma słowami, choćby najserdeczniejszymi? W świętych obcowaniu jest miejsce na taką odpowiedź. Wierzmy w to niezachwianie, tak jak On wierzył.

[Od Redakcji:] Odnotowane tu prace śp. księdza Stefana Wójcika to: *Katechizacja w warunkach systemu totalitarnego. Na przykładzie Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska w latach 1945-1961*, Wrocław 1995; *Ks. Infułat dr Stanisław Turkowski: lwowski duszpasterz na Dolnym Śląsku*, Wrocław 1999; *Biskup Wincenty Urban. Życie i działalność 1911-1983*, Lublin 2001.